

Kiedys byłem małym chłopcem. Jeśli oczywiście drewniany żołnierzyk może być chłopcem. No pewnie, że może. Tak sobie wmawiałem.

Kuba dostał mnie od Mikołaja – takiego korpulentnego staruszka – razem z całą masą innych zabawek.

– Mamu, a cio to jest? Kołboj? Mój własny Laki Luk? – zapytał, kiedy mnie zobaczył.

– To żołnierz synu – wtrącił się tato Kuby – tacy jak on walczyli i umie...

– No chyba cię Mariusz tramwaj potrącił. Będziesz Kubie wygadywał o ofiarach.

– Ale ja. No pewnie. Zapomniałem. Baw się synku. Jak chcesz zapalimy lampki i wyjdiesz pobawić się na dwór – zaproponował wysoki człowiek.

– Na dwól. Na dwól. To ja biołę kołboj! Wybielam ciebie, Laki Luuuk.

Gdy oczy chłopca zamigotały z wrażenia tamtego śnieżnego dnia, wiedziałem, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi w całutkim kosmosie.

Natychmiast zabrał mnie na podwórko. Ozdobione świątecznymi lampkami choinki i dach domu sprawiły, że było tam jasno jak za dnia.

– Wieś kołboju, nie pamientam śniegu, bo w ześłym loku byłem jeście mały. Telaz jestem duuzi. Tak mówi tata. Tata też jest duzi. Wieś kołboju. Ujepimy bałłana. – Jaki kołboju? – pomyślałem. Mój kolega z pułki był kołbojem. Miał kołbojski kapelus i buty, i był zupełnie inny. No ale cóż. To pewnie przez te chustę. Sam nie wiedziałem, kto to jest bałłan. W ogóle wtedy niewiele wiedziałem. Byłem chłopcem jak Kuba i mogłem mu wybaczyć drobne pomyłki. Kiedys się nauczy. Razem ze mną. Pozjadamy wszystkie rozumy. Tak sobie wmawiałem.

– Pu, pu, pu i jeście pu. Ładni bałłan kołboju? – No piękny, śliczny – chciałem powiedzieć, chociaż dzieło sztuki to nie było. No ale przecież wiecie. Nam nie wolno. Za takie rzeczy można trafić na strych albo jeszcze gorzej. Dorośli boją się gadających zabawek. Zwłaszcza jeśli te nie powinny wcale zabierać głosu.

– Kołboju, kołboju – kontynuował blondynek – ćegoś mu blakuje. Noosia, kołboju, nosia – krzyczał po chwili. Zrobiło mi się lżej na sercu, że nie był już taki zamyślony, jednak po chwili, kiedy Kubaś wepchnął mnie w miejsce nosa, poczułem się bardzo dziwnie. Było tam ciasno i ciemno, tak że nie mogłem złapać tchu. Kuuuba, coś ty zrobił! – miałem ochotę krzyczeć, ale musiałem zachować żołnierską godność i znieść to jak prawdziwy bohater. Nie zapominajcie, że byłem jeszcze pełnym złudzeń chłopcem. Mogłem wtedy wrzeszczeć. Gdyby usłyszał, jak mi źle, zlitowałby się nade mną i nie musiałbym spędzać całej nocy w ciasnocie i ciemności.

*

W pewnym momencie poczułem, że coś spływa po moim ciele. Tak, dobrze słyszeliście, drewno to dla mnie ciało. Niewiele czujące, ale zdecydowanie nie znoszące ścisku i wody. Nie wiem, ile czasu spędziłem w tamtym niekomfortowym położeniu. Po jakimś czasie opadłem lekko i zrobiło się trochę luźniej. Czekałem dalej no i w końcu Kuba przypomniał sobie. Wyciągnął mnie i pomachał dłonią, w której byłem zatrzaśnięty. Światło dnia przywitałem z niezmierną radością. Gdybyś mógł zajrzeć pod chustę zakrywającą moje usta, ujrzałbyś błogi uśmiech.

Po chwili znalazłem się przy twarzy chłopca.

– Widziś kołboju, co stało się z naszym bałłanem? – To może odwróć mnie, obejrzę go sobie – pomyślałem. Kuba, jakby usłyszał, wyprostował rękę w kierunku roztopionej brei na trawie.

– No i co, kto tu jest twardszy panie bałłanie? – spytałem wtedy bezgłośnie. Odpowiedź nie nadeszła. Teraz mnie to nie dziwi. Bałwan ulotnił się z pomocą słońca, do którego zawsze miałem ochotę się szczerzyć, jednak moja twarz do dziś wygląda niezbyt wesoło, dzięki jakiemuś władcy zabawek,

mającym kulek w miejscu, o którym nie wypada mówić.

Blondyn wyciągnął z kieszeni jakąś kolorową szmatkę, taką z jakich szyli kukielki, i postanowił mnie otulić. Myślał pewnie, że jest mi zimno. No cóż. Nie miałem na co narzekać. Kocyk był przyjemną odmianą, chociaż osobiście wolałem jego gołą dłoń. Koc zbyt ugniał. Na szczęście nigdy więcej Kuba nie wpadł na podobny pomysł.

Wyciągał coś z garażu, podczas gdy ja siedziałem na ławce oparty plecami o deski.

– Śanki, żobaćś, flllu, tak pędzimy, żobaćś... – kołboju, dokończyłem za chłopca. Złapał mnie z taką energią, że spadła ze mnie ta cała szmatka. Nie oglądałem się wstecz, bo wcale nie miałem ochoty za nią rozpaczać. Przenieśliśmy się na ogromny pagórek za domem chłopca – jedyne miejsce, gdzie wciąż leżały resztki śniegu. Kuba złapał za sznurek dłonią, w której mnie trzymał, co nie było najbardziej komfortowym położeniem w kosmosie. Lepiej to niż woda. Tak sobie wmawiałem. No ale potem była woda i dużo śniegu dookoła. A wszystko to po długim locie.

– Kołboju! Kołboju! Gdzie jesteś? Nie chowaj się! Kiedyś cie znajde! Żobaćś! – Dzięki nieustającym krzykom Kuby, słyszałem, jak się zbliża. Mógł mnie jednak ominąć, a wtedy zostałbym w tamtym mokrym strasznym miejscu kto wie, czy nie na zawsze. Musiałem wyczołgać się z dziury, w którą zapadłem się przez swój głupi ciężar. Bo nie mogli zrobić mnie z kartonu czy szmatek. Zebrałem się w sobie, chociaż od tej nieruchomości zeszywniały mi kończyny. Z trudem i wielkim wysiłkiem przeturlałem się raz i drugi, a w następnej chwili zamarłem, bo blondyn stał nade mną i przyglądał się temu co wyprawiam z zainteresowaniem. – O kurczę pieczone na wolnym ogniu, już po mnie – pomyślałem. Kuba zaczął krzyczeć, zlecać się dorośli i ja – niesforna zabawka, która rusza się mimo braku takiej funkcji – zostanę skazany na przedwczesną emeryturę. Co ja pocznę. O złowrogi dla zabawek świecie. – Wtem jednak chłopiec nachylił się nade mną, chwycił mocno i przytulił. Ulga wyprostowała moje skrzywione ze stresu sęki.

– Oj kołboju, kołboju – zwrócił się do mnie Kuba – tito sie umiesz dobrze bawić.

– Dobja mi żabawa – wyszeptalem do siebie.

Gdy wróciliśmy do domu, chłopca spotkała niemiła niespodzianka. Zawitał do niego mężczyzna.

– Kubuś, przyszedł do ciebie pan nauczyciel. Opowie ci on o świecie, żebyś... o matko, jak ty wyglądasz!

– wykrzyknęła kobieta. Wtedy myślałem, że przywoływała mamę Kuby, bo sama jest kim innym. Taki był ze mnie głuptasek. – Biegiem pod gorący prysznic. Pan poczeka, zrobię herbatki.

– Ałaa! – krzyknąłem, bo chłopiec upuścił mnie na podłogę. Na szczęście nikt tego nie usłyszał.

– Kuba! Zabawka idzie z tobą! – zawołała mama blondynka.

Prawie się zapomniałem. Miałem zamiar wstać i iść w ślad za Kubą, ale on wrócił się i podniósł mnie z podłogi. Dzięki kobiecie oglądałem jak chłopiec myje się pod miniaturowym prysznicem. Patrzyłem jak namydla się cały, prycha pianą jak koń, następnie wyskakuje z brodzika, żeby namydlić i mnie. Już miałem uciekać lub wołać o pomoc, kiedy przypomniałem sobie, że nie powinienem naginać szczęścia. Okazało się jednak, że została mi jakaś tam jego resztką. Kuba wyrócił się jak długi na morskich płytkach. Leżał przez chwilę i machał rękami. Coś stuknęło, a potem rozległ się gromki śmiech. Mym oczom ukazał się tata Kuby – wąsaty wysoki człowiek. Od razu polubiłem go za ten śmiech, choć poprzedniego dnia nie wiedziałem, czemu mówi o mnie, że gdzieś walczyłem i coś robiłem. Pewnie miał zły sen. Tak sobie wmawiałem.

Dzięki kobiecie obaj słuchaliśmy starego mężczyzny z brodą niemal śnieżnego koloru. Na początku całkiem nie spodobała mi się ta broda, z uwagi na wszystkie dotychczasowe wydarzenia, ale teraz wiem, że była ona oznaką pewnej życiowej mądrości, którą nabiera się wraz z doświadczeniem. Przynajmniej tak mówił Kubie pan nauczyciel, bo takie dziwne miał imię. Chłoniliśmy każde jego słowo. Zwłaszcza ja, bo blondynek na początku edukacji miał ciekawsze zajęcia, takie jak zdejmowanie i zakładanie skarpetki bądź wyciąganie ze swojego nosa jakichś dziwnych substancji i lepienie z nich kulek. Pan nauczyciel przy Kubie musiał pozostać oazą spokoju. Tak mówił, chociaż dziwnie to brzmiało, bo jak nas

uczył oazy były na pustyniach i nosiły dużo więcej zieleni.

Wróćmy jednak do tamtego dnia

– To co to jest kosmos, Kubo? – zapytał po długiej opowieści o kosmosie siwobrody.

– Co to jest kośmoś, plosię pana? – chłopiec odpowiedział pytaniem.

– Gwiazdy i planety – zaczął mężczyzna.

– I ja i pan, plosię pana?

– I ty i ja.

– I kołboj? – Kuba zapytał, po uniesieniu mnie w górę. Pan nauczyciel wybuchł śmiechem jak wulkan, o którym też nam opowiadał.

– Ale to jest żołnierz. To nie kowboj Kubuś. – Bingo, panie nauczyciel – miałem ochotę wykrzyknąć. To było dobre słowo. Słyszałem je w takim pudle co pokazuje obrazy, zaraz jak się urodziłem. Ludzie byli wtedy szczęśliwi. Jak pan w pudle powiedział: „Bingo” wszyscy klaskali, a człowiek BINGO wychodził na scenę i tak jakby tańczył. Zwykle tańczył, czasem tylko skakał.

– Żonieź plosię pana? Żonieź?

– Tak. Właśnie tak.

– Żonieź! Żonieź! – wykrzyknął Kuba i wybiegliśmy z pokoju. – Mama! Mama! – wrzeszczał dalej. – Żonieź. Pan mówi, to żonieź jest.

– Tak Kubusiu, żołnierz. Super.

– A pamiętasz o kosmosie młody człowieku? – rozległ się głos, a potem pojawił obraz staruszka, to znaczy nauczyciela.

– Kuba pamienta. I ja i pan, panie ućiciel. I kołboj. NIE! Nie kołboj. Żonieź! I żonieź panie ućiciel.

To wtedy stało się coś niesamowitego. Niczego podobnego już więcej nie widziałem. Wszyscy śmiali się i płakali jednocześnie, trzymając za brzuchy. Śmiał się nawet tata Kuby, ale jego nic nie bolało. Zupełnie tak jakby te wasy taty były osłoną na ból. Tak wtedy myślałem. Fajna osłona tato Kuby. Okazało się, że osłona nie zawsze działała.

*

Uczyliśmy się pilnie. Pan nauczyciel przychodził każdego dnia i opowiadał nam wiele ciekawych historii. Okazało się, że świat to niesamowite miejsce, przeogromne, nie wspominając o kosmosie, który był niezmierny żadną linijką. Ja zostałem zmierzony podobnie jak Kuba drugiego dnia nauki.

– Dwadzieścia jeden centymetrów – orzekł siwobrody nauczyciel. Nie byłem olbrzymem jak ludzie, ale być może byłem olbrzymem wśród drewnianych żołnierzyków. Jedno było pewne. Budziłem strach wśród większości lokalnych owadów, zwłaszcza kiedy odganiałem je od Kuby, podczas tych krótszych, jak i dłuższych jego drzemek. Sam nie potrzebowałem snu, więc obiecałem sobie, że będę wybawicielem chłopca od całego zła czającego się na świecie. Tak, o źle pan nauczyciel też wspominał. Za każdym razem z cieniem wahania w głosie, jakby sam bał się choćby o tym napomknąć. Mówił o duchach, kataklizmach i jeszcze gorszych rzeczach, chociaż dla Kuby, z tego co widziałem, najgorsze były właśnie owady.

Kiedy chłopiec budził się rano drapał się cały i wierzgał nogami. Zaczęło się latem. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, aż w końcu pokazał mi wielkie czerwone ślady.

– Widziś żonieź, to komaly, oklopne komaly. Uważaj na nie. Glyżą, a późno śwędzi. Dłapięś i leci klew. Auuu! – krzyknął i wybuchnął płaczem. Rozdrapał jedno z ugryzień.

Musiałem mu jakoś pomóc. Nie mogłem beczynnie patrzeć jak cierpi. Samo wymachiwanie rękami nie przynosiło na początku żadnych efektów. Zacząłem na nie wrzeszczeć, ale to tak, jakby się paliło i waliło. Dopiero wtedy paskudy uciekały do swoich norek czy gdzie tam mieszkaly. Zresztą może nagle same przestały przylatywać, jakby Kuba już im nie smakował.

Dopiero wtedy Kuba budził się wesoly i z niedowierzaniem oglądał swoje ciało.

– Panie żonieź, widzi pan? – mówił do mnie. – Komaly się mnie boją. Jestem już duzi jak tata. A kiedy

pan żonieź bendzie duzi?

– Jak mi dorobią szczudła – odpowiedziałem, zanim zdążyłem się powstrzymać.

– Haha. Oj panie żonieź, ale pan to śmieśnie mówiś.

– Uffff – zeszło ze mnie całe powietrze. Wszystko przez te całe komaly – myślałem.

– Dzień dobly, pan ućiciel – powiedział Kuba, co oznaczało, że miły staruszek właśnie wszedł do naszego pokoju.

– Cześć Kubuś. Co słychać? Wszystko w porządeczku?

– Jakby pan wiedział, panie ućiciel, jestem już duuuuzi.

– Haaa. Tak. To prawda. Rośniesz w niesamowitym tempie.

– Nie, plosię pana. Pan nie lozumie. Komaly widzom Kube i uciekajom. Ajajaj. Aż sie kuzi. Tu nie boli i tu nie boli, tu też nie boli. – Demonstrował mężczyźnie swoje ciało, do niedawna tak strasznie umęczone.

– Rozumiem, Kubuś, rozumiem. Komary mają prawo się bać. Sam bym się bał takiego dużego chłopca, gdybym był komarem.

– Niemożliwe. Pan nie być komal. Psiećeś pan nie umieś jatać.

– Nie mówię, że jestem komarem. Ale byłem kiedyś małym chłopcem, jak ty.

– Duzim. Oj, panie ućiciel. Pan żapominaś.

– Dużym chłopcem. Ale ze mnie gapa. Byłem dużym chłopcem i miałem na imię Jasio.

– No dobla. A bały się pana komaly? – Kuba nie dawał za wygraną. Aż załamał ręce nad cudaczością nauczycielskich słów.

– Uciekały w popłochu. Uciekał przede mną nawet największy leśny komar. Chcesz o tym usłyszeć?

– Tak. O tak! Wieś pan. Pan to jesteś jednak śupel.

– No to słuchaj, Kubuś, był sobie raz chłopiec. Miał włosy czarne jak kruk, ale poza tym był bardzo podobny do ciebie i niesamowicie ciekawy świata. Chłopiec miał na imię Jaś i wydawało mu się, że jest najdzielniejszym chłopcem na calutkim świecie. Tak mówił o nim tato, a Jasio wierzył we wszystko, co jego tatuś powiedział, bo kochał go nad życie.

– To tak jak Kuba!

– W rzeczy samej. Odkąd Jasio pamiętał prześladowały go komary. Wielkie komary, które chciały upić trochę jego słodkiej krwi, by puchnąć i puchnąć, i w końcu przerosnąć Jasia, tatę Jasia oraz ich dom. Chłopiec postanowił, że stawi czoła komarom, żeby nie nachodziły go już nigdy więcej.

– A Jasio miał żonieź jak Kuba?

– Nie, Jasio nie miał takiego pięknego żołnierza. Miał za to odważne serce, które zaprowadziło go do okrytego cieniem lasu. Chłopiec wiedział, że nie ma czasu do stracenia. W każdej chwili mogło zrobić się ciemno, a on musiał przecież odnaleźć leśnego komara i przepędzić go na drugi koniec świata. Szedł dalej i dalej w las, aż znalazł się nad ogromnym stawem, nad którym latała cała zgraja komarów.

– I cio dalej panie ućiciel? Ći Jasio zlobił pif paf i komaly uciekły?

– Niestety nie. Jasio nie miał karabinu, takiego jak twój żołnierz. Jasio nie wziął ze sobą nawet procy. Z całej tej swojej dzielności zapomniał się przygotować. Ale nie mógł się cofnąć. Musiał odgonić komary, żeby nie urosły jeszcze większe, bo wtedy byłoby za późno. Zebrał całą swoją odwagę, wciągnął powietrze i ruszył w kierunku stawu niczym huragan.

– Był śibki? Ći był śibki?

– Jak błyskawica. Wbiegł do wody, machając rekoma. „Uciekajcie bestie! Uciekajcie stąd! Zostawcie nas w spokoju”, wołał na całe gardło, przedzierając się ku owadom. Opadał z sił, ale nie mógł się zatrzymać, komary były już tak blisko, zaledwie na wyciągnięcie dłoni giganta. Jaś widział jak obserwują go swymi wielkimi ślepiami bez żadnej reakcji. To wtedy poczuł, że traci grunt pod stopami.

– I cio dalej? Ći Jasio poleciał? – zapytał chłopiec. Wtedy staruszek zamilkł. Wydawało się, że jest bliski łez.

– Niestety nie. Nikt nie obdarował go sztuką latania – wydusił z siebie starzec, po czym wybiegł z

pokoju.

Przez jakiś czas próbowaliśmy z Kubą zrozumieć, co się właśnie stało, ale chyba żaden z nas nie potrafił.

– Kubuś, obiad! – zawołała mama chłopca. To wyrwało go z otępienia.

*

Minęło dużo czasu odkąd miły nauczyciel opowiedział nam historię o Jasiu i przestał nas odwiedzać. Kobieta, która przychodziła później nie była nawet w połowie taka ciekawa. Nie wiem nawet, czy lubiła dzieci. A już na pewno nie znosiła drewnianych żołnierzyków. Zauważałem kierowane ku mnie spojrzenia.

Znów nadeszło lato, a wraz z nim powrócił problem komarów. Rodzice Kuby uważali je za niegroźne, a uchylone okno, to była konieczność. Chłopiec znów cierpiał, a ja nie mogłem nic poradzić.

– Mój kochany żołnierzu – zwrócił się do mnie pewnego dnia. – Pamiętasz, jaką historię opowiadał nam kiedyś pan nauczyciel? O takim chłopcu Jasiu, co wygonił komary. Wiesz, chyba muszę zrobić to samo. Komary nigdy nie przestaną. Ach, gdybyś tylko żył. Razem byśmy im pokazali.

Całe popołudnie Kuba nie mówił o niczym innym niż wyprawa do lasu, którą mieliśmy odbyć następnego dnia. Nie byłem pewien, czy do końca zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie czyhają na nas w lesie, ale wiedziałem, że nie mogę zrobić nic, aby odwieźć go od podjętej decyzji.

To była jedna z najdłuższych nocy, w której nachodziły mnie rozmaite strachy. Komary krążyły nad łóżkiem Kuby i co jakiś czas opadały w dół, by potrzeć rączki i pokłuć chłopca.

– Krwio pijcy! – wrzeszczałem – dajcie mu spokój. – Zdawały się mieć klapki na uszy i widzieć tylko jedno – krwiste ciało mojego bezbronnego przyjaciela.

Kiedy Kuba obudził się, wiedziałem że nie ma odwrotu. Ukąszenia komarów nie robiły na nim żadnego wrażenia. Był skupiony na czym innym.

– To dzisiaj, przyjacielu – zwrócił się do mnie. – Dzisiaj wypowiemy wojnę komarom.

Po śniadaniu Kuba spakował kanapkę, złapał mnie w garść i wyruszyliśmy w drogę. Mimo słonecznej pogody i błękitnego bezchmurnego nieba, kiedy wkroczyliśmy do lasu, rzeczywiście było ciemno, zupełnie jak opowiadał kiedyś pan nauczyciel.

Kuba szedł beztrąsko, jakby to była zwyczajna przechadzka, a nie walka z przerażającym przeciwnikiem.

– Wiesz, żołnierzu, chciałbym cię przeprosić, za coś co wydarzyło się dawno temu. Kiedy zabrałem cię na sanki o mało nie zgubiłem cię w śniegu. Powiedz, jak poradziłbym sobie teraz bez ciebie. Sam w życiu nie wyruszyłbym na taką wyprawę, ale z tobą u boku nic nie wydaje się straszne. Dziękuję żołnierzu. Jesteś najlepszy w kosmosie.

– Ty też – powiedziałem, a Kuba tylko się uśmiechnął.

Wszędzie szukaliśmy tego stawu i gdy już myśleliśmy, że zapadł się on pod ziemię, usłyszeliśmy niepokojące odgłosy dochodzące z małego lasku na środku wielkiej polany, gdzie było o wiele jaśniej. Hałasy jednak nie brzmiały zachęcająco i co jak co, wołałem zawrócić. Mój przyjaciel był jednak zdecydowany. Pobiegł naprzód z rozłożonymi rękami. Poczułem się wspaniale. Ciąłem powietrze jak samolot. Gdy Kuba zaczął krzyczeć myślałem, że jesteśmy niepokonani. Po chwili jego krzyk był jednak inny, a dookoła nas wcale nie fruwały komary. Te owady były czarno-żółte i dużo szybsze niż komary. To osy-giganty – pomyślałem ze strachem. Kuba przedarł się przez nie i pognął dalej, mimo to widziałem, jak go pogryzły. Biegł co sił, głośno płacząc. Czułem jak z każdym krokiem mocniej zaciska dłoń.

*

Oglądałem wielkie czerwone bąble pokrywające ciało mojego przyjaciela i naprawdę nie wiedziałem, co ze sobą począć. Do jego szpitalnego pokoju przychodzili różni ludzie, większość ubrana na białe i gdy pooglądali już Kubę, za każdym razem czuć było, że nie niosą dobrych wieści.

– Według lekarzy Kubuś może umrzeć – powiedział tata Kuby do jego mamy.

Kiedy o tym usłyszałem, nie wiedziałem, co to słowo oznacza. Bo i skąd? Tacy jak my lądowali po jakimś czasie w różnych miejscach. Szczęśliwcy w rękach dzieci i wnuków naszych pierwszych kompanów. Mniej szczęśliwi na półkach w ciągłym oczekiwaniu. Pechowcy w starych kufrach z nieużywany już zabawkami. Kaleki i weterani najczęściej trafiali na wysypisko.

Miejsce, do którego miał trafić mój ukochany chłopak musiało być o niebo lepsze. Śmierć była pewnie rodzajem wakacji. Takich, gdzie wyjeżdża się, ale niekoniecznie z nich wraca. Być może jest tam zbyt wspaniale lub podróż powrotna jest niemożliwa, w każdym razie nie jest najgorzej. Spędzone razem chwile wciąż smakują, jakby przydarzyły się wczoraj, a nie lata temu. Słońce chyli się do snu, a spragnione wiatru ramiona unoszą się na przekór słońcu, wyżej i wyżej, i wyżej, aż czujesz, że mimo drewnianych kończyn zostałeś stworzony do latania.

Gdybyś tylko widział te okropne szpitalne komary. Dałbyś mi skrzydła, a wpadłbym w tę chmurę i rozgonił ją na cztery strony świata. Skrzydeł jednak nie miałem. Nie mogłem też dłużej załamywać rąk. Musiałem działać. Na nocnej szafce obok łóżka Kuby stała pusta szklanka po wodzie. Naparłem z całych sił i spadła z hukiem na posadzkę. Rozbiła się na małe kawałeczki, ale nic wielkiego się nie stało. Latające stwory nie reagowały, zupełnie jak w historii siwobrodego. Na szafce stała też lampka. Widziałem setki razy jak Kuba zapala i gasi swoją. Ta była podobna. Wskoczyłem na pstryczek i zrobiło się jasno. Łatwizna. Komary nagle zwróciły swoje głowy ku mnie, jakbym odpowiadał za ujawnienie ich obecności. Zrobiło się niebezpiecznie. Przeogromne owady leciały prosto na mnie. Wiedziałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak skok. Kuba leżał przy samej szafce. Wychyliłem się poza krawędź i wybiłem z całej siły. Opadłem na klatkę piersiową chłopca i stoczyłem w okolicę brzucha, prosto pod kołdrę. Byłem już bezpieczny. Kuba też był bezpieczny. „Jutro obudzi się, jakby nigdy nic”, tak sobie wmawiałem. A potem zasnąłem, pierwszy raz od bardzo dawna, pewien, że wszystko będzie dobrze.

– Panie żonie, widzi pan? – mówił do mnie przyjaciel. – Komary się mnie boją.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jackass1408, dodano 03.12.2018 09:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.